Raymond F. Jones

Wspomnienie Marsa

(The Memory of Mars)

Amazing Stories, December 1961
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Reporter powinien być obiektywny, nawet jeśli chodzi o szpital. Jego zadaniem jest poruszenie emocji innych, nie pozwalając, aby jego własne zostały poruszone. Ale takie banały były bezużyteczne, pomyślał sobie Mel Hastings. Zupełnie bezużyteczne, jeśli osobą, która gdzieś tam w środku leżała, balansując niepewnie na granicy życia i śmierci, była Alice.

Alice zdecydowanie za długo przebywała na bloku operacyjnym. Coś musiało pójść źle. Był tego pewien. Rzucił okiem na zegarek. Wkrótce na zewnątrz wstanie świt. Dla Mela Hastingsa, oznaczało to znaczny i nieubłagany upływ czasu. Gdyby Alice miała wyłonić się cała i bezpieczna z białych jaskiń bloku operacyjnego, zrobiłaby to już wcześniej.

Mel zatonął głębiej w ciężkim fotelu, czując w swym wnętrzu dziwny spokój, tak jakby i jego powoli brała w swe objęcia skradająca się śmierć. Rozległ się nagły odległy ryk i za oknem zobaczył jasną smugę na niebie. To powinien być chyba statek turystyczny, *Martian Princess*, przypomniał sobie.

To była ostatnia rzecz, jaką powiedziała Alice, zanim zabrali ją od niego.

— Zaraz jak tylko wyzdrowieję, znowu polecimy na wakacje na Marsa, a wtedy będziesz miał cudowne wspomnienia. Tam jest tak pięknie. Przeżyliśmy tyle zabawnych chwil…

Zabawna, cudowna, mała Alice – i ta jej fantazja, przy której stale się upierała, że spędzili wakacje na Marsie w pierwszym roku ich małżeństwa. To zaczęło się jakiś rok temu i nic co powiedział nie było w stanie podważyć jej złudzeń. Żadne z nich nie było nawet nigdy w kosmosie.

Żałował teraz, że jej tam nie zabrał. Byłoby warto, niezależnie od tego ile by go to kosztowało osobiście. Nigdy nie powiedział jej o fobii, która go prześladowała przez całe życie, o lęku przestrzeni kosmicznej, powodującym że oblewał się zimnym potem na samą myśl o niej – ani o koszmarnych snach nawiedzających go przez cały czas, odkąd był małym chłopcem.

Musi być jakiś sposób, żeby rozwiązać ten problem – by dać jej wakacje na Marsie, których tak bardzo pragnęła.

Teraz było już za późno. Wiedział, że było za późno.

Białe drzwi otworzyły się i powoli wyłonił się z nich dr Winters. Przez dłuższy czas patrzył na Mela Hastingsa, jakby próbując sobie przypomnieć kim w ogóle jest czekający na niego człowiek.

— Muszę z panem porozmawiać… w moim biurze — w końcu oznajmił.

Mel wpatrywał się w niego z otępiającą świadomością.

— Ona nie żyje — powiedział.

Dr Winters skinął powoli głową, jakby zaskoczony i zdziwiony, że Mel wiedział co się stało.

— Muszę z panem porozmawiać w moim biurze — powtórzył.

Mel obserwował oddalającą się postać. Wydawało się, że nie ma powodu iść za nią. Dr Winters powiedział wszystko, co było do powiedzenia. W oddali korytarza, doktor odwrócił się i stał cierpliwie, jakby rozumiał dlaczego Mel nie poszedł za nim, ale był zdeterminowany by czekać, aż w końcu to zrobi. Reporter poruszył się i wstał z fotela, nogi pod nim drżały. Postać dr Wintersa robiła się coraz większa, w miarę jak zbliżał się do niej. Poranny gwar szpitalny zdawał się nabierać siły stanowiącej torturę dla uszu. Drzwi biura zamknęły się za nim.

— Ona nie żyje. — Dr Winters usiadł za biurkiem, zacisnął i otworzył dłonie. Nie patrzył na Mela. — Zrobiliśmy wszystko co było możliwe, panie Hastings. Obrażenia poniesione przez nią w wypadku, były relatywnie lekkie… — Zawahał się, a po chwili kontynuował. — W normalnych okolicznościach nie powinno być problemu – jej obrażenia powinny zostać wyleczone.

— Co pan rozumie przez określenie „w normalnych okolicznościach…”?

Dr Winter na chwilę odwrócił twarz od Mela, tak jakby próbując się pozbyć jakiegoś bólu nie do wytrzymania. Potem stanął z powrotem twarzą do reportera.

— Kobieta, którą przywiózł pan tutaj ostatniej nocy – pańska żona – jest kompletnie nie-normalna pod względem jej budowy wewnętrznej. Nie można nawet zidentyfikować jej organów wewnętrznych. Ona jest jak istota jakiegoś innego gatunku. Ona nie jest… ona po prostu nie jest człowiekiem, panie Hastings.

Mel gapił się na niego, próbując zrozumieć znaczenie wypowiedzianych słów. Jakoś mu ono umykało. Wydał z siebie krótki, histeryczny chichot, przypominający szczekanie.

— Pan oszalał, panie doktorze. Kompletnie pan zwariował!

Winters skinął głową.

— W ciągu szeregu godzin dzisiejszej nocy, wielokrotnie miałem ochotę zgodzić się z pańską opinią. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem stan pańskiej żony, sam byłem przekonany, że zupełnie oszalałem. Wezwałem sześciu innych ludzi, aby zweryfikowali moją opinię. Wszyscy oni byli tak samo zdumieni jak ja, tym co zobaczyli. Organy, które nie mają miejsca w budowie człowieka. Przemiany chemiczne, które nie występują w żadnym żywym organizmie, jaki wcześniej widzieliśmy…

Słowa doktora przetaczały się nad nim, jak ryczące fale przyboju, zalewające, topiące, niszczące…

— Chcę to zobaczyć. — Własny głos zabrzmiał Melowi w uszach jak suche pokasływanie, dochodzące gdzieś z oddali. — Myślę, że pan zwariował. Uważam, że usiłuje pan ukryć jakieś popełnione przez siebie błędy. Zabił pan Alice przy prostej operacji, a teraz próbuje się pan z tego wygrzebać opowiadając jakieś niestworzone historie, w które nikt na świecie by nie uwierzył!

— Ja również chciałbym, żeby pan to zobaczył — odparł dr Winters, powoli się podnosząc. — Dlatego właśnie pana tutaj poprosiłem, panie Hastings.

I znów Mel podążał za nim korytarzem. Przez całą drogę nie padły między nimi żadne słowa. Mel czuł się, jakby już nic nigdy nie miałoby być rzeczywiste.

Przeszli przez białe drzwi bloku operacyjnego oraz przez jedne z drzwi wewnętrznych. Potem weszli do znajdującego się za nimi cichego pomieszczenia - chłodni.

W blasku lodowato białych lamp, na stole spoczywała samotna przykryta prześcieradłem postać. Mel nagle poczuł, że nie chce jej oglądać. Ale dr Winters już podciągnął prześcieradło. Odsłonił twarz o ukochanych rysach Alice Hastings. Mel wykrzyknął jej imię i podbiegł bliżej do stołu. W jej twarzy nie było niczego, co mogłoby sugerować, że po prostu nie śpi, włosy jej się rozsypały, twarz miała spokojną i odprężoną, tak jak to u niej widział setki razy.

— Czy jest pan w stanie dalej to kontynuować? — spytał z niepokojem dr Winters. — Może podać panu środek uspokajający?

Mel pokręcił z otępieniem głową.

— Nie… proszę mi pokazać…

Wielka, świeża rana rozciągała się po przekątnej przez cały jej brzuch, sięgając w górę, pod serce. Doktor wziął małe nożyczki i szybko rozciął prowizoryczne szwy. Przy pomocy kleszczy i retraktorów, rozsunął brzegi wielkiego rozcięcia.

Mel zamknął oczy, by opanować ogarniające go mdłości.

— Gangrena! — powiedział. — Tu jest pełno gangreny!

Pod skórą i warstwami powierzchniowej tkanki tłuszczowej, kolor tkanek zmieniał się od ciemnej czerwieni rozciętego ciała, na jeszcze ciemniejsze i zielonkawe zabarwienie, oznaczające śmiertelny rozkład.

Ale dr Winters pokręcił przecząco głową.

— Nie. To nie jest gangrena. Te tkanki już tak wyglądały, kiedy je odsłoniliśmy. Wydaje się, że to jest ich… stan normalny, jeśli chce pan szukać odpowiedniego określenia.

Mel gapił się, nie wierząc własnym oczom, nie rozumiejąc.

Doktor Winters przy pomocy sondy jeszcze szerzej otworzył ranę.

— Tutaj powinniśmy zobaczyć jej żołądek — powiedział. — Jak określić, to co znajduje się w jego miejscu, nie potrafię panu powiedzieć. Nie ma nazwy dla tego organu. Tutaj zaś powinien leżeć odcinek przewodu jelitowego. Zamiast niego mamy tylko tę jednorodną masę zielonego, galaretowatego materiału. Inne organy ledwie wyróżniające się spośród tej masy, pojawiają się w miejscu, w którym powinna znajdować się wątroba, trzustka i śledziona.

Mel słyszał głos lekarza, jakby dochodził do jego uszu z jakiegoś odległego miejsca, albo we śnie.

— Tutaj mamy płuca – czy też coś w tym rodzaju — mówił dalej doktor. — Była z pewnością zdolna do oddychania. A oto wysoce zmodyfikowany układ krążenia, a nawet dwa, jak się okazuje. Ten, w którym krąży krew, w zewnętrznych warstwach tkanek, jest niemalże normalny. W tym drugim krąży płyn, który nadaje reszcie narządów ich zielonkawe zabarwienie. Ale w jaki sposób odbywa się ten obieg, nie wiemy. Ona nie ma serca.

Mel Hastings wybuchnął histerycznym śmiechem.

— Teraz już jestem pewien, że pan zwariował, panie doktorze! Moja droga, kochająca Alice miałaby nie mieć serca! Często mówiła do mnie: „Nie mam zbyt wiele rozumu w głowie. Gdybym miała, to nie wyszłabym za głupiego reportera. Ale mam serce, i dlatego się w tobie zakochałam – dzięki memu sercu, a nie rozumowi.” Ona mnie kochała, czy pan to rozumie?

Doktor Winters powoli odprowadził go stamtąd.

— Rozumiem. Oczywiście, że rozumiem. Proszę pójść ze mną, panie Hastings, i położyć się na chwilę, a ja przygotuję panu coś, co pomoże łatwiej znieść szok.

Mel pozwolił się zaprowadzić do niewielkiego pomieszczenia znajdującego się w pobliżu. Wypił środek podany przez lekarza, ale nie chciał się położyć.

— Pokazał mi pan wszystko — oznajmił z ponurym przekonaniem. — Ale nie obchodzą mnie pańskie wyjaśnienia. Znałem Alice. Ona była z całą pewnością człowiekiem, nawet w większym stopniu niż pan, czy ja. Była zupełnie normalna, powiem panu – we wszystkim, poza tym pomysłem, na który wpadła jakoś tak w zeszłym roku, że kiedyś byliśmy razem na wakacjach na Marsie.

— To nie była prawda?

— Nie, żadne z nas nie było nigdy w kosmosie.

— Jak dobrze znał pan swoją żonę, zanim za pana wyszła?

Mel uśmiechnął się na samo wspomnienie.

— Dorastaliśmy razem, chodziliśmy do tej samej szkoły podstawowej i liceum. Zdaje się, że nigdy nie było dni, kiedy Alice i ja nie znaliśmy się. Nasi rodzice przez całe lata żyli po sąsiedzku.

— Czy ona miała dużą rodzinę?

— Starszego brata i siostrę, oraz dwie młodsze siostry.

— Jacy byli jej rodzice?

— Oni ciągle żyją. Jej ojciec prowadzi sklep z narzędziami. Mieszkają w społeczności farmerskiej. Cudowni ludzie. Alice była taka jak oni.

Doktor Winters milczał przez chwilę, zanim zaczął mówić dalej.

— Panie Hastings, poddałem pana tym cierpieniom psychicznym, tylko z jednego powodu. Gdyby to była kwestia mniejszej wagi, nie poinformowałbym pana o szczegółach stanu pańskiej żony, nie mówiąc już o prośbie, aby ją pan obejrzał. Ale mamy tu do czynienia z tak ogromnym problemem naukowym, że muszę pana prosić o pomoc i współpracę przy

jego rozwiązaniu. Proszę o pańską zgodę na przeprowadzenie sekcji i zachowanie ciała pańskiej żony, dla potrzeb nauki.

Mel popatrzył na lekarza z nagłym ostrym sprzeciwem.

— Mam nawet nie urządzić jej pogrzebu? Pozwolić, by została tutaj, zamknięta w butlach, jak… jak jakieś…

— Proszę nie denerwować się bardziej, niż jest to konieczne. Ale błagam pana, żeby pan rozważył to, co przed chwilą panu zaproponowałem. Z pewnością chwila zastanowienia, uświadomi panu, że nie jest to ani trochę bardziej barbarzyńskie, niż inne nasze obyczaje związane ze śmiercią. Ale nawet ta kwestia nie jest najważniejsza. Alice, kobieta z którą się pan ożenił, była normalną istotą ludzką pod każdym obserwowalnym zewnętrznie względem, a jednak organy wewnętrzne umożliwiające jej życie i pozwalające jej funkcjonować, są niepodobne do niczego znanego nam z wcześniejszych doświadczeń ludzkości. Sprawą najwyższej wagi jest, abyśmy zrozumieli znaczenie tego faktu. Od pana zależy czy będziemy mieli tę możliwość, czy nie.

Mel zaczął ponownie coś mówić, jednak słowa uwięzły mu w gardle.

— Czas ma krytyczne znaczenie — powiedział dr Winters, — ale nie chcę pana zmuszać do natychmiastowej odpowiedzi. Proszę poświęcić trzydzieści minut, aby to sobie przemyśleć. W tym czasie muszą zostać podjęte dodatkowe środki zachowawcze. Przykro mi, że to wszystko musi odbywać się w takim pośpiechu, ale nalegałbym, aby pańska odpowiedź brzmiała tak.

Doktor Winters ruszył w stronę drzwi, jednak Mel zatrzymał go gestem ręki.

— Chcę ją znowu zobaczyć — zażądał Mel.

— Nie ma takiej potrzeby. Wystarczająco dużo już pan wycierpiał. Proszę zapamiętać żonę taką, jaką znał pan przez całe życie, a nie taką jaką zobaczył pan parę chwil temu.

— Jeśli chce pan usłyszeć moją odpowiedź, proszę pozwolić mi znowu ją zobaczyć.

Doktor Winters bez słowa zaprowadził go z powrotem do chłodni. Mel odsunął prześcieradło, ale tylko na tyle, by odsłonić twarz Alice. Nie było wątpliwości. W jakiś sposób, ciągle miał nadzieję, że to wszystko okaże się jednym wielkim potwornym błędem. Ale błędu nie było.

Czy ona chciałaby, żebym zrobił to, o co prosi mnie doktor? — pomyślał. Byłoby jej wszystko jedno. Prawdopodobnie uznałaby za niesamowicie wspaniały żart, że urodziła się z wnętrznościami, które czyniły ją czymś zupełnie odmiennym od wszystkich innych. Byłaby rozbawiona myślą o szczegółowych badaniach i mamrotaniu uczonych lekarzy, próbujących znaleźć wyjaśnienie czegoś, co wyjaśnienia nie miało.

Mel z czułością naciągnął jej prześcieradło na twarz.

— Może pan robić to, na co ma pan ochotę — oznajmił doktorowi Wintersowi. — Nam to nie zrobi najmniejszej różnicy – nam obojgu.

Środek uspokajający, który dał mu dr Winters, plus jego własne wyczerpanie, spowodowały że Mel popołudniu zasnął na kilka godzin, ale wieczorem obudził się i wiedział że przed nim leżała bezsenna noc. Nie mógł wytrzymać myśli, iż spędzi ją w domu, z tymi wszystkimi świeżymi wspomnieniami o Alice.

Wyszedł na ulicę, kiedy zaczęło robić się ciemno. Chodzenie było proste; niemal nikt już tego nie robił. Pędzące prywatne i komercyjne samochody, kłębiły mu się nad głową i huczały pod ziemią. On sam, był odosobnionym anachronizmem, spacerującym w milczeniu na obrzeżach wielkiego miasta.

Miał już tego wszystkiego dość. Najchętniej odwróciłby się plecami do miasta i opuścił je na zawsze. Alice czuła tak samo. Ale nie było dokąd uciec. Pisanie reportaży informacyjnych, było jedyną rzeczą, jaką potrafił robić, a nowe wiadomości pojawiały się tylko w tych wielkich, paskudnych miastach tego świata. Wiejskie tereny, takie jak te, które Alice i on znali kiedy byli młodzi, nie wytwarzały niczego, co mogłoby zainteresować pełnych przesytu mieszkańców miast i miasteczek. Niczego, poza żywnością, a i tak większość z niej była obecnie produkowana przez wielkie fabryki, syntetyzujące proteiny i węglowodany. Z chwilą, kiedy można będzie syntetyzować tłuszcze, dni farmerów będą policzone.

Zastanawiał się, czy teraz nie dałoby się znaleźć jakiegoś sposobu wyjścia z tej sytuacji. Kiedy Alice odeszła, pozostał tylko sam, a jego potrzeby były niewielkie. Nie wiedział, ale nagle poczuł bardzo mocne pragnienie, aby ponownie zobaczyć rodzinne strony. A poza tym, musiał powiedzieć o tym co się stało, jej rodzicom.

Antyczny autobus naziemny dotarł do Central Valley następnego dnia w południe. Wszystko dokoła wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy Mel widział to ostatnim razem. I wyglądało to naprawdę bardzo dobrze. Wielkie, otwarte przestrzenie ziemi, ogromne pola uprawne.

Autobus minął szkołę średnią, do której Mel i Alice uczęszczali razem do jednej klasy. Na wpół oczekiwał, że ujrzy ją jak biegnie mu na spotkanie przez kampusowe trawniki. W centrum miasteczka wysiadł z autobusu, a tam czekali już na niego matka i ojciec Alice.

Mieli suche oczy, ale byli bladzi i otępiali przez wstrząs. George Dalby złapał go za rękę i mocną ją uścisnął.

— Nie możemy tego pojąć, Mel. Po prostu ciągle nie jesteśmy w stanie uwierzyć, że Alice odeszła.

Jego żona wzięła Mela w ramiona i walcząc ze łzami powiedziała:

— Nie mówiłeś nic o pogrzebie, Mel. Kiedy on będzie?

Mel z trudem przełknął ślinę, usilnie starając się wymyślić to jedyne kłamstwo, które musiał przekazać. Niemal sam się sobie dziwił, jak mógł się zgodzić na żądanie doktora Wintersa.

— Alice… zawsze pragnęła zrobić wszystko co się da, dla dobra świata — odparł. — Postanowiła, że powinna jeszcze się do czegoś przydać,

nawet kiedy umrze. A więc zawarła umowę z ośrodkiem badawczym w szpitalu, że po śmierci mogą wykorzystać jej ciało.

Jej matka potrzebowała chwili, żeby zrozumieć, co powiedział. Potem wykrzyknęła:

— Nie możemy jej nawet pogrzebać?

— Powinniśmy odprawić symboliczną mszę właśnie tutaj, w domu, gdzie są wszyscy jej przyjaciele — powiedział Mel.

George Dalby pokiwał głową ze smutkiem.

— Taka właśnie była Alice — stwierdził. — Zawsze chciała zrobić coś dla kogoś innego…

I to była prawda — pomyślał Mel. Gdyby Alice przypuszczała, że nadszedł kres jej życia, pewnie sama by pomyślała o czymś podobnym. Jej rodzice łatwo dali się ułagodzić.

Zabrali go do starego, dobrze znanego mu domu, i dali mu ten sam pokój, w którym on i Alice spędzili pierwsze dni swego małżeństwa.

Kiedy zapadła noc i pogasły wszystkie światła, poczuł że będzie w stanie usnąć w naturalny sposób, po raz pierwszy od wypadku Alice. Tutaj, w starym dobrze znanym domu, wydawało się, że ona nie może być zbyt daleko od niego.

W pamięci, z pewnością nie była, ponieważ Mel był przekonany, że jest w stanie przypomnieć sobie wszystkie szczegóły każdego z nią kontaktu. Po raz pierwszy stał się świadom jej istnienia kiedy byli w trzeciej klasie. Na początku każdego roku szkolnego, młodzi wychowankowie przechodzili przez proces ważenia, badania, ostukiwania kolan, liczenia dziur w zębach. Tego roku Mel dotarł spóźniony na swoje badania i wlazł do niewłaściwego pokoju. Przywitał go zimny prysznic dziewczęcych pisków, a nauczycielka wyjaśniła mu uprzejmie, w którym pokoju odbywały się badania chłopców.

Najbardziej wrył mu się jednak w pamięć obraz Alice Dalby, stojącej na środku pomieszczenia, ze zdjętą bluzką, którą osłaniała się z przodu, jednocześnie podskakując z furią w górę i w dół, oraz wymachując w jego stronę palcem:

— Wynoś się stąd, Melvinie Hastings! Jesteś paskudnym, obrzydliwym chłopakiem!

Z czerwoną twarzą, pośpiesznie wycofał się na korytarz, zaś nauczycielka zapewniała Alice i pozostałe dziewczęta, że on po prostu się pomylił. Ale jaka zła była Alice! Minął tydzień zanim się w ogóle do niego odezwała.

Uśmiechnął się i przycisnął mocniej głowę do poduszki. Przypomniał sobie, jak strasznie był dumny, kiedy stary doktor Collins, który każdej jesieni przybywał czynić honory domu, oznajmił mu, że wszystko jest z nim w najlepszym porządku, oraz że jeśli nadal będzie grzecznie i regularnie wypijał swoje mleko, to urośnie na tyle by zostać futbolistą. Nadal brzmiały mu w uszach słowa pogwizdującego przez zęby doktora, i czuł chłód stetoskopu na piersi.

Nagle w ciemności usiadł prosto na łóżku.

Stetoskop!

Przecież oni opukiwali, ostukiwali, osłuchiwali Alice tego dnia, oraz podczas wszystkich innych dorocznych badań.

Gdyby doktor Collins nie mógł wychwycić rytmu bicia jej serca, to chyba by zemdlał z wrażenia – a potem narobił wrzasku na całe miasteczko!

Mel podniósł się i stanął przy oknie, serce waliło mu jak młotem. Stary doktor Collins już umarł, ale kartoteki medyczne z tych szkolnych badań, mogły ciągle gdzieś tu być. Nie wiedział, co próbuje udowodnić, ale z pewnością karty te nie pasowałyby do historii, którą opowiedział mu dr Winters.

To zajęło mu niemalże cały następny dzień. Dyrektor podstawówki zgodził się mu pomóc w przekopywaniu się przez zakurzony strych szkoły, gdzie stare kartoteki i papiery walały się w nieładzie, powysypywane z właściwych pudełek.

Potem Paul Ames sekretarz rady szkolnej, zabrał Mela do Urzędu Dystryktu i zaoferował pomoc w poszukiwaniu zapisów. W starym budynku panowało duszne gorąco i kurz spowodowany letnią pustką. Ale na dole, w chłodnej, pełnej pajęczyn piwnicy znaleźli to, czego szukali. Karta zdrowia Alice z wpisami od trzeciej klasy, aż do dziewiątej. W każdym przypadku: Serce, w porządku; płuca normalne. Do tego pomiary pulsu i ciśnienia krwi.

— Chciałbym to dostać — powiedział Mel. — Jej lekarz w mieście… chciałby napisać coś w rodzaju artykułu na temat jej przypadku i chętnie by przejrzał całą historię medyczną, jaką uda mi się zdobyć.

Paul Ames zmarszczył brwi z zamyśleniem.

— Nie wolno mi wydawać własności gminy. Ale one powinny zostać wyrzucone już dawno temu – Proszę je wziąć i nikomu nie mówić, że to ja panu je dałem.

— Dziękuję. Dziękuję bardzo — odparł Mel.

A kiedy miała czternaście, czy piętnaście lat, przeszła operację usunięcia wyrostka robaczkowego. Mel pamiętał, że zabieg wykonywał dr Brown. Przejął Alice po doktorze Collinsie.

— Pewnie, on nadal tutaj pracuje — powiedział Paul Ames. — Korzysta z tego samego biura, co stary doktor Collins. Prawdopodobnie znajdzie go pan tam, nawet i teraz.

Doktor Brown pamiętał sprawę. Nie pamiętał szczegółów samego zabiegu, ale ciągle przechowywał karty szpitalne, według których była to zupełnie normalna operacja.

— Zastanawiam się, czy mógłbym dostać kopię tej dokumentacji z pańskim podpisem? — spytał Mel. Wyjaśnił to zainteresowaniem dr Wintersa jej przypadkiem, nie ujawniając rzeczywistych okoliczności.

— Z przyjemnością — odparł dr Brown. — Bardzo mi przykro, że sprawy ułożyły się tak, jak się ułożyły. Alice była jedną z najładniejszych dziewczyn, jakie tutaj się wychowywały.

Symboliczna msza pogrzebowa miała miejsce w miejscowym starym kościele, w niedzielę po południu. Było to jak zaciąganie kurtyny nad częścią życia Mela, i wiedział, że kurtyna ta już nigdy się nie podniesie.

Wkrótce po zakończeniu mszy, wsiadł do autobusu wyjeżdżającego z miasteczka.

Był jeszcze jeden decydujący dowód, i dziwił się sobie przez całą drogę powrotną do miasta, że od razu o nim nie pomyślał. Ciąża Alice zakończyła się poronieniem i nigdy już nie zaszła w nią ponownie.

Ale aby określić problemy Alice wykonano prześwietlenie promieniami Roentgena. Gdyby one pokazały, że Alice była normalna zaledwie przed dwoma laty…

Dr Winters był odrobinę zaskoczony, widząc ponownie Mela. Zaprosił reportera do swego gabinetu i wskazał mu ręką krzesło.

— Pewnie przyszedł pan po to, aby zapytać mnie o nasze ustalenia na temat pańskiej żony.

— Tak… jeśli udało się wam czegokolwiek dowiedzieć — odparł Mel. — Ja mam parę rzeczy do przekazania panu.

— Wiemy już trochę więcej, niż w noc jej śmierci. Zakończyliśmy rozkładanie ciała. W tej chwili prowadzona jest szczegółowa analiza każdego organu, a dalej wykonane zostaną testy chemiczne substancji ciała. Odkryliśmy, że zmiany w konstrukcji szkieletu były niemalże równie duże jak w tkankach miękkich. Nie znaleźliśmy żadnych powiązań między nowymi strukturami a tymi występującymi u wszystkich innych gatunków – ludzkich, czy zwierzęcych – które kiedykolwiek poznaliśmy.

— A jednak, Alice nie zawsze była taka — oznajmił Mel.

Doktor Winters popatrzył na niego ostro.

— Skąd pan to wie?

Mel wyciągnął kartotekę medyczną, którą otrzymał w Central Valley. Doktor Winters wziął ją i przeglądał uważnie przez dłuższy czas, podczas gdy Mel obserwował go w milczeniu.

W końcu dr Winters odłożył karty Alice z westchnieniem.

— To wydaje się czynić problem jeszcze bardziej złożonym niż był przedtem.

— Są jeszcze zdjęcia rentgenowskie — dorzucił Mel. — Alice miała prześwietlenie miednicy zaledwie nieco ponad dwa lata temu. Próbowałem zdobyć te zdjęcia, ale lekarz powiedział mi, że to pan będzie musiał o nie wystąpić. Powinny one stanowić absolutny dowód, czy Alice była inna już wtedy.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie one są, a ja natychmiast po nie poślę.

Godzinę później dr Winters z niedowierzaniem kręcił głową, kiedy wyłączył podświetlany ekran i zdjął z niego zdjęcia rentgenowskie.

— To wręcz nie do uwierzenia, że te zdjęcia zostały wykonane pańskiej żonie, ale one potwierdzają dowody wynikające z innych rejestrów medycznych. Pokazują one idealnie normalną budowę ciała.

Obaj mężczyźni siedzieli w ciszy po obu stronach biurka, żaden z nich nie chciał wyrazić swych pomieszanych myśli. W końcu doktor Winters przełamał milczenie.

— Panie Hastings, nie ma innego wyjaśnienia… — powiedział — …jak to, że ta kobieta – to zupełnie obca osoba – po prostu ona nie jest pańską żoną, Alice. Gdzieś, jakoś musiała nastąpić pomyłka tożsamości, zamiana dwóch podobnych osób.

— Nie traciłem jej z oczu — odparł Mel. — Kiedy tego wieczora wróciłem do domu, wszystko było zupełnie normalnie. Nie było niczego niezwykłego. Wyszliśmy, żeby obejrzeć pokaz. Potem, w drodze do domu nastąpił wypadek. Nie mogło dojść do żadnej zamiany – chyba że tutaj, w szpitalu. Ale ja jestem pewien, że kobieta, którą widziałem, to Alice. To dlatego właśnie skłoniłem pana, by pozwolił mi pan zobaczyć ją po raz drugi – żeby się upewnić.

— Jednak dokumenty, które pan mi dostarczył są dla mnie dowodem czegoś zupełnie innego. Te kartoteki medyczne, te prześwietlenia rentgenowskie dowodzą, że Alice, dziewczyna którą pan poślubił, była absolutnie normalna. To kompletnie niemożliwe, żeby przeszła metamorfozę w osobę, którą operowaliśmy.

Mel zapatrzył się na odbicie nieba na wypolerowanym blacie biurka.

— Nie potrafię na to odpowiedzieć — oznajmił. — To nie może być Alice. Ale jeśli to prawda, to gdzie jest Alice?

— To może być nawet sprawa dla policji — odparł dr Winters. — Jest jeszcze wiele rzeczy, których musimy się dowiedzieć w tej tajemniczej kwestii.

— Jest jeszcze jedna rzecz — przypomniał sobie Mel. — Odciski palców. Na początku, kiedy tutaj przyjechaliśmy, Alice pracowała w firmie, gdzie musieli mieć jej odciski palców.

— Doskonale! — zawołał dr Winters. — To powinno ostatecznie wyjaśnić sprawę.

Zdobycie odcisku palca i porównanie go, zajęło im resztę popołudnia. Odciski były identyczne. Ciało było ciałem Alice Hastings.

Tej nocy, powrócił znowu dręczący go koszmarny sen. Gorszy nawet, niż Melvin przypominał sobie z przeszłości. Jak zawsze był to sen o kosmosie, czarnej, pustej przestrzeni, w której bezbrzeżnych głębinach unosił się zupełnie sam. Nie było poczucia kierunku. Pochwycił go wir zawrotów głowy, z którego wychodził z dręczącą tęsknotą za jakąś solidną podstawą, której mógłby się trzymać.

Był tylko kosmos.

Po pewnym czasie, nie był już sam. Nie mógł ich zobaczyć, ale wiedział, że oni tutaj byli. Poszukiwacze. Nie miał pojęcia, dlaczego musi uciekać, ani dlaczego go szukali, ale jakoś zdawał sobie sprawę, że nie mogą go dogonić, inaczej wszystko zostanie stracone.

Jakoś znalazł sposób, aby poruszać się w pustej przestrzeni. Poszukiwacze byli tylko rosnącymi punkcikami światła w oddali. To dało mu poczucie kierunku. Jego osobowość, sedno istnienia, jego wszechświat marzeń i zrozumienia, zależały od udanej ucieczki przed poszukiwaczami. Coraz szybciej i szybciej, przez dzikie, czarne otchłanie kosmosu…

Nigdy się nie dowiedział, czy uciekł, czy nie. Zawsze budził się zaplątany w pościeli, zlany potem, piszcząc ze strachu. Przez długi czas była u jego boku Alice, która po obudzeniu trzymała go za rękę. Teraz jednak Alicja odeszła, a on był już taki zmęczony tym nocnym pościgiem. Czasami żałował, że nie skończył się on schwytaniem go przez poszukiwaczy – kimkolwiek by oni nie byli – oraz zrobieniem przez nich tego co zamierzali zrobić. Potem może te koszmary by się skończyły. Niewykluczone, że byłby to również i koniec Mela Hastingsa, pomyślał sobie. Ale to też nie byłoby wcale takie złe.

Przez resztę nocy rzucał się nie mogąc zasnąć, i rano wstał czując się, jakby w ogóle nie kładł się do łóżka. Mógł wziąć jeszcze jeden dzień wolnego, a potem musiał wracać do Biura Wiadomości. Chciał wykorzystać ten dzień na sprawę, która nie mogła być już dłużej odkładana – zebrania i uporządkowania rzeczy osobistych Alice.

Ogolił się, wykąpał i ubrał, a potem zaczął opróżniać szafki, jedna po drugiej. Było w nich wiele upominków, pamiątek. Zawsze je zbierała. Dolna szuflada jej szafy była pełna takich rzeczy, do których on zaglądał jedynie sporadycznie.

W drugiej warstwie tego rodzaju rupieci w szufladzie, natknął się na broszurę dotyczącą wakacji na Marsie. To musiało być jedno z jej życiowych marzeń, pomyślał sobie. Pragnęła tego tak bardzo, że niemal uwierzyła, iż to prawda. Przewertował strony gładkiej, połyskującej broszury. Na okładce widniał obrazek wielkiej *Martian Princess*, i stylizowany emblemat Connemorra Space Lines. W środku znajdowały się błyszczące fotografie luksusowego wnętrza ogromnego liniowca wakacyjnego i zdjęcia pokrytych kopułami marsjańskich miast, w których Ziemianie raczej się bawili, niż pracowali. Mars stał się wielkim ośrodkiem turystycznym dla Ziemi.

Mel zamknął książeczkę i popatrzył ponownie na nazwę Connemorra. Tylko jeden człowiek był w stanie zgromadzić zasoby niezbędne do uruchomienia prywatnej linii kosmicznej. Dokonał tego Jim Connemorra, nikt do końca nie wiedział jak. Działał teraz na obu półkulach prowadząc linię kosmiczną, która zrezygnowała z przewozów ładunkowych i funkcjonowała jedynie w biznesie pasażerskim. Robił pieniądze na skalę, do której jak na razie nie była w stanie się zbliżyć żadna z linii rządowych.

Mel rozsiadł się na podłodze, kontynuując przeglądanie rzeczy w szufladzie.

Jego ręka zatrzymała się bez ruchu. Siedział nieruchomo, podczas gdy świadomość tego co widzi, zaowocowała w jego myślach deszczem gorączkowych pytań. Przed nim leżała okładka biletu, oznaczona logo Connemorra Lines.

Kiedy zajrzał do środka nie znalazł żadnego nazwiska. Ale bilet był podniszczony. Tak jakby ktoś zabrał go ze sobą na Marsa i z powrotem.

W nagłym wybuchu aktywności zaczął uważnie przeglądać wszystkie rzeczy i odkładać je na bezładny stos na podłodze. Po chwili rozpoznał

parę idiotycznych marsjańskich lalek. Potem znalazł mapę turystyczną ruin marsjańskich miast. Znalazł menu z Red Sands Hotel.

A pod tym wszystkim znajdował się album ze zdjęciami. Alice w Red Sands, Alice w Oazie Phobos. Alice w ruinach Darnelli. Odwracał kartki albumu odrętwiałymi palcami. Alice w kilkunastu miejscach na Marsie. Niektóre ze zdjęć były datowane. Mniej więcej dwa lata temu. Ponoć byli tam razem, jak powiedziała Alice, ale nigdzie nie było nawet śladu udziału Mela w tej podróży.

Chociaż równie niemożliwe było, aby w taką podróż wyruszyła sama Alice. A jednak dowody leżały przed nim. Dowody, które spowodowały, że zaczął wątpić w swe zdrowe zmysły. Jak coś takiego mogło się wydarzyć? Czy może naprawdę był na takich wakacjach i jakaś amnezja odarła jego umysł z ich wspomnień? Może zmusił się, żeby z nią polecieć, i siła prześladującej go przez całe życie fobii, zatarła podróż w jego pamięci.

I co to wszystko miało wspólnego – jeśli w ogóle miało – z nieprawdopodobnymi odkryciami dr Wintersa na temat Alice?

Przybity smutkiem i wyczerpaniem siedział, bezcelowo obracając w palcach pamiątki, wpatrując się w zdjęcia, okładkę biletu i upominki.

Doktor Winters oznajmił nieco bardziej ostrym tonem niż zamierzał:

— Nie wydaje mi się, aby ta szaleńcza eskapada na Marsa mogła cokolwiek rozwiązać. Wyda pan na nią tylko całe mnóstwo pieniędzy, a nie dostrzegam tutaj żadnej ścieżki prowadzącej do jakiegokolwiek rozwiązania.

— To jedyne możliwe wyjaśnienie — upierał się Mel. — Coś się stało na Marsie, co zmieniło ją z kogoś kim była przedtem w… to co widział pan na swoim stole operacyjnym.

— I ma pan nadzieję, że przy pomocy jakiejś desperackiej szarży udowodni pan, iż doszło do zamiany tożsamości – że istnieje może choćby jakiś cień szansy, na znalezienie Alice ciągle żywej.

Mel przygryzł wargę. Niechętnie przyznawał się do takiej właśnie nadziei, ale była ona podstawą jego decyzji.

— Muszę zrobić wszystko, co jestem w stanie — stwierdził. — Trzeba podjąć ryzyko. Jeśli tego nie zrobię, niepewność będzie mnie dręczyła przez całą resztę życia.

Dr Winters pokręcił przecząco głową.

— Nadal żałuję, że nie udało mi się panu tego wyperswadować. Znajdzie pan tam tylko rozczarowanie.

— Jestem na to gotów. Pomoże mi pan, czy nie?

— Co mogę dla pana zrobić?

— Nie jestem w stanie polecieć w kosmos, dopóki nie znajdę jakiegoś sposobu, nawet czasowego, pozbycia się tej fobii, która niemalże doprowadza mnie do szaleństwa, na samą myśl o udaniu się w przestrzeń. Czy nie ma jakiegoś lekarstwa, metody hipnotycznej, albo czegoś innego, co by pomogło w tego rodzaju sprawach?

— To nie moja dziedzina — stwierdził dr Winters. — Podejrzewam jednak, że przyczyny pańskich kłopotów nie da się wytłumić. Będzie musiała zostać całkowicie wyrugowana. Jedynym sposobem na osiągnięcie tego jest psycho-rekonstrukcja. Mogę polecić paru dobrych fachowców. To, również, jest bardzo drogie.

— Powinienem to zrobić dla Alice – już dawno temu — odparł Mel.

Doktor Martin, psychiatra, był mocno zainteresowany problemem Mela.

— Wygląda na to, jakby bazował on na jakiejś wcześniejszej traumie, która już dawno temu została wyparta z pańskiej świadomej pamięci. Wyzdrowienie może być łatwe lub trudne, w zależności od tego, w jakim stopniu doszło do zatarcia oryginalnego wydarzenia.

— Mało mnie obchodzi, co to było za wydarzenie — odparł Mel — jeśli tylko potrafi pan się pozbyć tego mojego przytłaczającego lęku przed kosmosem. Dr Winters mówił, że według niego może być potrzebna rekonstrukcja.

— Ma rację. Nieważne jak wielki stos nawrzuca pan na taką fobię, żeby ją wytłumić, ona i tak będzie pana prześladować. Możemy zrobić próbną sesję, aby przeanalizować sytuację, a potem będziemy w stanie lepiej ocenić szanse ostatecznego sukcesu.

Jako reporter, Mel Hastings miał kilka pobieżnych kontaktów z tematem psycho-rekonstrukcji, ale niewiele wiedział o szczegółach z nią związanych. Słyszał, że wymagała ona jakiegoś rodzaju maszyny, która potrafiła ostukiwać największe głębie ludzkiej psychiki i wyciągać na wierzch ukryte śmieci zebrane w trzewiach i zakamarkach umysłu. Ale takie rzeczy zawsze budziły jego niepokój. Trzymał się jak najdalej od nich.

Kiedy dr Martin po raz pierwszy wprowadził go do pomieszczenia psycho-rekonstrukcji, jego determinacja niemalże uleciała. Wyglądało ono bardziej na jakieś skomplikowane laboratorium elektroniczne, niż gabinet lekarski. W środku znajdowało się sześciu operatorów i asystentów w pielęgniarskich mundurkach.

— Jeśli zechciałby pan tutaj spocząć… — powiedział doktor Martin.

Mel czuł się, jakby go przygotowywano do jakiegoś nieludzkiego eksperymentu biologicznego. Na głowę założono mu baterię czujników i tysiące niewielkich elektrod dopasowano, tak by dotykały jego czaszki. Ciche buczenie pracujących urządzeń powiększało jeszcze lekki napływ obaw w jego umyśle.

Po upływie połowy godziny, przygotowania zostały ukończone. Obniżono poziom natężenia światła w pomieszczeniu. Wyczuwał tylko obecność operatorów zgromadzonych przy swoich panelach, i widział niewyraźną sylwetkę siedzącego obok niego doktora Martina.

— Proszę spróbować sobie przypomnieć, tak intensywnie jak to tylko możliwe, swoje ostatnie doświadczenie z opisywanym przez pana

koszmarem. Będziemy starali się do niego doczepić i podążyć za nim głębiej.

Była to ostatnia rzecz, na jaką Mel miał ochotę. Leżał dręczony sprzecznymi uczuciami, przypominając sobie, że przecież śnił ten sen zaledwie parę godzin temu, ale walcząc z koniecznością przywołania tych wspomnień.

— Proszę pozwolić sobie pójść dalej — łagodnie oznajmił dr Martin. — Niech pan z tym nie walczy.

Jakiś fragment jego umysłu na mgnienie oka opuścił tarczę swej zasłony. To przypominało dotknięcie powierzchni wiru. Natychmiast został wciągnięty w rozpędzone głębiny snu. Wyczuł, że kiedy w nie wpadał, krzyknął ze zgrozy. Ale nikt nie mógł go usłyszeć. Był sam w kosmosie.

Lęk otoczył go jak czarne, oblepiające futro. Przepełniła go zupełna daremność nawet samego uczucia strachu. Musiał tylko zostać tam gdzie był, i wkrótce przestanie istnieć.

I znów zaczęli się zbliżać. Wyczuł ich raczej, niż zobaczył. Poszukiwacze. A jego lęk przed nimi był większy niż lęk przed samym kosmosem. Poruszył się. W jakiś sposób się poruszył, i popędził na oślep przez ogromne przestworza, podczas gdy punkciki światła za nim robiły się coraz jaśniejsze.

— Bardzo satysfakcjonujące — odezwał się doktor Martin. — Niezmiernie satysfakcjonujące sondowanie.

Jego głos dobiegał do Mela jakby spoza potężnych barier czasu i przestrzeni. Mel poczuł gęsty pot pokrywający mu ciało. W jego mięśniach pulsowała słabość.

— To daje nam bardzo solidny punkt zaczepienia — mówił dalej dr Martin. — Z tego miejsca, jak mi się wydaje, będziemy mogli pójść wstecz do początku pańskich doświadczeń i odsłonić całą tę sprawę. Czy jest pan gotów, panie Hastings?

Mel czuł się za słaby, żeby poruszyć głową.

— Rozwalmy to! — słabo wymamrotał.

Dzień był ciepły i słoneczny. On i Alice pojawili się wcześniej w porcie kosmicznym, aby nacieszyć się przedstartowym podnieceniem. To było coś, o czym oboje marzyli od czasu kiedy byli dziećmi – wakacje w fantastycznych pokrytych kopułami miastach Marsa i ruinach jego cywilizacji.

Alice była pod wrażeniem pierwszego spojrzenia z bliska na wspaniały statek, spoczywający w swym wodnym łożu startowym, które otwierało się na Jezioro Michigan.

— Jaki on ogromny! Jak tak potężny statek będzie w stanie w ogóle unieść się z powierzchni Ziemi?

Mel roześmiał się.

— Nie przejmuj się tym. Oboje wiemy, że będzie. Tylko to jest istotne.

Ale sam także nie mógł nic poradzić na to, że był pod wrażeniem ogromnych rozmiarów i pełnych wdzięku kształtów luksusowego statku. W

przeciwieństwie do Alice, widział go z bliska nie po raz pierwszy. Oglądał statek już wiele razy, w czasie swej pracy reportera, prowadząc wywiady ze sławnymi i powszechnie znanymi osobistościami, które odlatywały bądź przylatywały z bajecznych miejsc rozrywki na Marsie.

— Jeśli uważnie się rozejrzysz — zauważył Mel, — to zobaczysz mnóstwo twarzy ludzi, których przylot lub odlot jest ważną wiadomością dla mediów.

Twarz Alice rozjaśniła się, kiedy złapała się ramienia Mela i rozpoznała kliku znanych ludzi, którzy mieli zostać jej współpasażerami.

— Kochany, to będzie największa zabawa, jaką mieliśmy w życiu.

— Jak gromada małp w cyrku — powiedział Mel lekkim tonem, ciesząc się entuzjazmem, który wręcz kipiał w Alice.

Statek był tak idealnie stabilizowany, że pasażerowie nie musieli nawet siadać podczas startu. Stłoczyli się przy portach widokowych, żeby przyglądać się jak ziemia i woda mkną do tyłu kiedy statek pokonał połowę Jeziora Michigan rozpędzając się przy starcie. Gdy wzniósł się w wyższe warstwy atmosfery, wspinając się pod coraz ostrzejszym kątem, włączony został jego własny system sztucznej grawitacji, dający złudzenie poziomego lotu, z pozostającą powoli z tyłu Ziemią.

Mel i Alice wędrowali przez salony oraz po przestronnych pokładach, czując się jakby ich życie zmieniło się w baśń. Poczucie czasu zdawało się zupełnie zaniknąć i lecieli tym wielkim statkiem, jakby w jakiejś ponadczasowej, nieskończonej przestrzeni.

Nie był tak do końca pewien, kiedy po raz pierwszy uświadomił sobie istnienie nurtującego go uczucia niepokoju. Wydawało się ono wynikać ze zmiany, jaka zaszła w członkach załogi. Rankiem trzeciego dnia, zarzucili oni swą uniwersalną i nieprzerwaną troskę o rozrywkę i zabawę dla pasażerów.

Większość pasażerów zdawała się zupełnie tego nie zauważać. Mel skomentował sytuację do Alice. Ona roześmiała się w odpowiedzi.

— A czego się spodziewałeś? Poświęcili pełne dwa dni na pokazanie nam statku i nauczenie nas korzystania ze wszystkich dostępnych na pokładzie rozrywek. Nie spodziewałeś się chyba, że będą nas niańczyć przez całą podróż, co?

To brzmiało sensownie.

— Chyba tak — niepewnie stwierdził Mel. — Ale co oni właściwie robią? Dzisiaj rano wszyscy wydają się biegać z ogromnym pośpiechem, żeby się gdzieś dostać.

— No cóż, muszą przecież mieć jakieś obowiązki związane z prowadzeniem statku.

Mel pokręcił głową z powątpiewaniem.

Alice towarzyszyła mu w przemierzaniu pokładów, kibicowaniu zabawom innych pasażerów i obserwowaniu gwiazd oraz galaktyk na teleskopowych ekranach. To właśnie na jednym z nich po raz pierwszy dostrzegli cień w kosmosie. Początkowo niewielki, czarny cień przesunął

się przed jedną z gwiazd i spowodował że mrugnęła. I to przyciągnęło uwagę Mela, mrugająca gwiazda pośrodku martwej kosmicznej nocy.

Kiedy już się upewnił, zawołał Alice, żeby zwróciła na to uwagę.

— Tam na zewnątrz coś się porusza.

Do tego czasu, nabrało to już kształtów, wyglądało jak niewielki czarny pocisk.

— Gdzie? Nic nie widzę.

— Przesuwa się przed tą grupą gwiazd. Popatrz dokładniej, a zobaczysz jak je po kolei zasłania.

— To drugi statek! — wykrzyknęła Alice. — Jakie ekscytujące! Pomyśleć tylko, że mijamy inny statek w ogromnej kosmicznej pustce! Ciekawe skąd on pochodzi?

— I dokąd leci.

Obserwowali jego powolny, precyzyjny ruch na tle gwiazd. Po kilku minutach, koło nich przechodził jeden ze stewardów. Mel zatrzymał go i wskazał ręką na ekran.

— Czy może pan nam powiedzieć, co to jest za statek?

Steward rzucił okiem i zdawał się go natychmiast rozpoznać. Ale zawahał się przy odpowiedzi.

— To liniowiec marsjański — w końcu wyjaśnił. — Za parę minut przez publiczny system rozgłoszeniowy zostanie przekazana informacja o nawiązaniu kontaktu i zmianie statku.

— Zmiana statku? — spytał Mel, zaintrygowany. — Nigdy nie słyszałem o żadnej zmianie statku.

— Och, tak — odparł steward. — Ten, którym lecimy obecnie, to tylko wahadłowiec. Na resztę podróży przeniesiemy się na liniowiec. Z pewnością wyjaśniano to państwu podczas zakupu biletów. — Pośpiesznie ruszył dalej.

Mel był całkiem pewien, że kiedy kupował bilety, niczego takiego mu nie wyjaśniano. Odwrócił się z powrotem do ekranu i obserwował czarny statek, obecnie powiększający swe rozmiary, w miarę jak on oraz *Martian Princess* zbliżały się do siebie zbieżnymi kursami.

System rozgłoszeniowy statku nagle obudził się do życia.

— Proszę państwa, mówi kapitan. Wszyscy pasażerowie proszeni są o przygotowanie się do opuszczenia wahadłowca i przejście na pokład liniowca na Marsa. Proszę zabrać ze sobą swój bagaż ręczny. Bagaże przewożone w ładowni, zostaną przeniesione bez państwa udziału. Z najwyższą przyjemnością gościliśmy państwa na naszym pokładzie. Kontakt z liniowcem zostanie ustanowiony za piętnaście minut.

Z ogólnego szumu wokół siebie, Mel zorientował się, że wszyscy inni byli równie mocno zaskoczeni tym co się dzieje, jak on, ale przesiadka została przywitana z podekscytowaniem i bez większych pytań.

Obecnie nawet Alice była już rozemocjonowana, a inni stłoczyli się wokół nich kiedy odkryli, co oglądają na ekranie.

— Ten wygląda na wielki — stwierdziła Alice stłumionym głosem. — Jest większy od tego statku i to znacznie.

Mel odsunął się i pozwolił aby inni zajęli miejsce przed ekranem. Uczucie niepokoju narastało w nim, w miarę jak przyglądał się zbliżaniu

ogromnego czarnego statku. I był przekonany, że jego kolor rzeczywiście jest czarny, że nie było to tylko złudzenie powodowane monotonnym widokiem na ekranie.

Po co mieliby przenosić pasażerów tutaj, w środku kosmosu? *Martian Princess* z pewnością była zdolna do pokonania trasy na Marsa. Prawdę mówiąc, znajdowali się już w ponad jednej trzeciej drogi. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale czuł z całą pewnością, że coś było nie tak. Niewątpliwie jednak nie było żadnego sensu, aby wielkie Connemorra Lines planowały jakieś działania na szkodę ponad pięciu tysięcy pasażerów, znajdujących się na pokładzie. Jego niepokój był kompletnie głupi, uspokajał sam siebie.

Ale nie przechodził.

Odwrócił się do zebranego przed ekranem widokowym tłumu, złapał Alice za ramię i odciągnął ją dalej.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— To jak dotąd najciekawsza rzecz podczas tej podróży. Chcę to obejrzeć.

— Nie mamy za dużo czasu — powiedział Mel. — Musimy spakować mnóstwo rzeczy do walizek. Chodźmy do naszej kajuty.

— Wszyscy inni także muszą się spakować. Nie ma pośpiechu.

— Kapitan mówił o piętnastu minutach. Nie chcemy chyba być spóźnialskimi.

Niechętnie Alice poszła za nim. Ich kajuta była daleko od salonu. Zanim do niej dotarli, piętnaście minut niemal już minęło.

Mel zamknął drzwi do ich kajuty i położył ręce na ramionach Alice. Uważnie rozejrzał się dokoła.

— Alice… nie chcę przechodzić na tamten statek. W tej całej sprawie jest coś nie tak. Nie wiem, o co chodzi, ale ja tam nie idę.

Alice wpatrywała się w niego.

— Czyś ty oszalał? Po tych wszystkich marzeniach, miesiącach planowania, ty nie chcesz lecieć na Marsa?

Mel poczuł się, jakby nagle między nimi wyrosła ściana. Ścisnął desperacko ramiona Alice w dłoniach.

— Alice… nie wydaje mi się, aby ten statek leciał na Marsa. Wiem, że to brzmi jak wariactwo, ale proszę, posłuchaj mnie – nie powiedziano nam ani słowa o tym, że *Martian Princess* jest tylko wahadłowcem, i że w kosmosie będziemy musieli się przesiadać na inny statek. Nikomu tego nie powiedziano. *Martian Princess* to liniowiec kosmiczny, który bez trudu może dolecieć na Marsa. Nie ma powodu, aby tak ogromny statek był używany tylko jako wahadłowiec.

— Tamten statek obok nas, jest jeszcze większy.

— Dlaczego? Czy potrzebujemy więcej miejsca, aby dokończyć podróż?

Alice strząsnęła z siebie jego ręce.

— Nie znam odpowiedzi na te pytania, i nie dbam o nie! — oświadczyła gniewnie. — Jeśli myślisz, że zrezygnuję z tych wakacji i tutaj w kosmosie

zrobię w tył zwrot, by lecieć z powrotem do domu, to chyba zwariowałeś. Jeśli ty chcesz wracać, to wracaj sobie sam!

Alice obróciła się na pięcie i pobiegła do drzwi. Mel ruszył za nią, ale wypadła już z kajuty i wtopiła się w poruszający się tłum, zanim zdołał dotrzeć do wyjścia. Zrobił krok, by pójść za nią, ale potem się zatrzymał. Nie mógł przecież zaciągnąć jej z powrotem do kajuty siłą. Może wróci po paru minutach, żeby spakować bagaże. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Nawet już robiąc to, wiedział że się myli. Alice będzie chciała go pokonać w wojnie nerwów. Przejdzie na ten drugi statek, oczekując, że on spakuje ich rzeczy i uda się za nią. Usiadł na łóżku i na chwilę schował głowę w dłoniach. Lekki wstrząs przeszedł przez statek i usłyszał dźwięczny szczęk uderzających o siebie metalowych elementów. Nieznany statek zadokował do *Martian Princess*. Ich śluzy powietrzne zostały właśnie połączone.

Przez iluminator mógł obejrzeć niewiarygodny wielki kadłub statku. Przeszedł przez pomieszczenie i nacisnął przycisk rozsuwający zasłony. Poprzednie wrażenia były słuszne. Statek był czarny. Czarny, pozbawiony nazwy i ślepy. Żadnych oznaczeń, ani iluminatorów, które byłoby widoczne na kadłubie, gdziekolwiek w zasięgu jego wzroku.

Nie miał pojęcia co robić, ale przede wszystkim wiedział, że nie przejdzie na pokład tamtego statku. Krążył po kabinie mówiąc sobie, że to jakieś głupstwa, że to jakiś neurotyczny lęk wypełnił mu umysł, że wielka firma Connemorra Lines nie mogła być wplątana w żadne przestępcze działania w stosunku do pięciu tysięcy ludzi – czy też nawet jednej osoby. Oni nie mogliby sobie pozwolić na takie ryzyko.

Ale nie potrafił się z tego otrząsnąć. Był absolutnie pewien, że niezależnie od ceny, on nie pójdzie na pokład tego czarnego statku.

Ale, może spróbować wyjść z kajuty?

Jego myśli skręcały się w rozpaczy, kiedy pomyślał o Alice. Jednak, niezależnie od tego, co oznaczał ten czarny statek, jeśli znajdzie się na jego pokładzie, nie pomoże nikomu. Musiał dostać się z powrotem na Ziemię, tam spróbować dowiedzieć się co się stało i zaalarmować władze. Tylko w ten sposób mógł pomóc Alice.

Ostrożnie otworzył drzwi kajuty i wyszedł na zewnątrz. Korytarz był pełen śpieszących się pasażerów, niosących bagaże podręczne. Wszyscy śmiali się do siebie pełni emocji. Dołączył do nich, poruszając się powoli, czujnie wypatrując członków załogi. Wydawało się, że ci ostatni zniknęli z korytarzy.

Trzymając się blisko ściany, poruszał się razem z tłumem, aż w końcu dotarł do zaokrąglonej niszy, oznaczającej komorę śluzy awaryjnej. Udając, że popchnął go napierający tłum, cofnął się do niej, automatyczne drzwi otworzyły się i zamknęły za jego plecami.

Śluza była jedną z wielu rozmieszczonych po całym statku, zgodnie z wymaganiami prawa. W komorach śluz awaryjnych znajdowały się skafandry kosmiczne, do opuszczenia statku w razie zagrożenia. Tak naprawdę nikt się nie spodziewał, że mogłyby one kiedykolwiek zostać użyte. W razie zagrożenia wymagającego opuszczenia statku, wyjście w kosmos w skafandrze, byłoby takim samym samobójstwem, jak pozostanie na jego pokładzie. Ale otępiali prawodawcy zadekretowali ich konieczność i pasażerowie musieli przed startem przechodzić pobieżny instruktaż użycia śluz i skafandrów – o którym zresztą natychmiast zapominali.

Mel z wysiłkiem próbował sobie przypomnieć cokolwiek z tego szkolenia. Sprawdził skafander wiszący w specjalnej szafce, a po chwili z ulgą stwierdził, że odpowiednie instrukcje powtórzone zostały na panelu szafki. Powoli naciągnął skafander, wykonując krok po kroku polecenia instrukcji. Zaczął się mocno pocić zarówno z wysiłku, jak i ze strachu przez wykryciem.

W końcu udało mu się dostosować do siebie skomplikowany ekwipunek i założyć go na siebie, pozostając niezauważonym. Nie wiedział, czy śluza na końcu komory nie jest wyposażona w jakiś alarm, który przy jej otwarciu poderwie na nogi załogę. To było ryzyko, które musiał podjąć. Odkrył, że całość zaaranżowano w taki sposób, że śluza mogła zostać otwarta jedynie za pomocą klucza, obsługiwanego z wnętrza skafandra. W oczywisty sposób miało to zabezpieczać przed tym by ktokolwiek wyszedł poza statek bez odpowiedniej ochrony. Być może przy takich środkach bezpieczeństwa nie będzie alarmu.

Przekręcił zamek i wszedł do śluzy. Otworzył zewnętrzne drzwi i stanął wobec nocy kosmosu.

Nie uwierzyłby wcześniej, że może istnieć coś tak przerażającego. Kolana momentalnie ugięły się pod nim i zawisł uczepiony do boku włazu. Pot na nowo trysnął mu z każdego pora skóry. Na ślepo nacisnął dźwignię odrzutu i wyleciał w kosmos.

Zatoczył krótki łuk wzdłuż krzywizny statku, a potem zszedł z powrotem na dół, lądując na kadłubie. Uczepił się go magnetycznymi podkładkami u stóp i rąk, wstrząsany nudnościami i zawrotami głowy.

Miał nadzieję, że dzięki uczepieniu się na zewnątrz kadłuba statku, uniknie wykrycia i jakoś zniesie powrotny lot na Ziemię. W zalewającej go słabości ciała i umysłu, cały ten plan wyglądał teraz na kompletne szaleństwo. Ciągle miał nudności, zamknął więc oczy i leżąc na kadłubie zanurzył się we wieczności.

Stracił poczucie czasu. Chronometr w skafandrze nie działał. Ale wydawało się mu, że minęło wiele godzin, zanim wyczuł lekki wstrząs, który przeszedł przez znajdujący się pod nim kadłub statku. Poczuł chwilowe uniesienie. Statki rozdzieliły się. Jego poszukiwania – jeśli w ogóle jakieś były – zostały zakończone.

Powoli ruszył cal po calu w drogę po kadłubie, żeby rzucić okiem na czarny statek. Ciągle tam był, odsunął się kilkaset jardów dalej, ale nadal nie odlatywał. Jego obecność zbiła go z tropu. Teraz już nie było żadnych powodów, żeby te dwa statki pozostawały w pobliżu siebie. *Martian Princess* powinna wykonać zwrot i ruszyć w drogę powrotną na Ziemię.

Wtedy zobaczył to, kątem oka. Ślad ruchu. Błysk światła. Jakby niewielki księżyc wznoszący się ponad odległą krzywizną kadłuba. Potem pojawiły się kolejny – para drżących satelitów.

Bez namysłu, Mel nacisnął dźwignię odrzutu i wystrzelił w kosmos.

Groza pierwszego lotu teraz spotęgowana jeszcze została przez obecność poszukiwaczy. Marynarze z *Martian Princess*, jak przypuszczał. Prawdopodobnie odkryto brak skafandra.

W panicznym locie stawił czoła wieczności, ciemności i samotności. Słońce było gorącym, jasnym dyskiem, ale nie oświetlało niczego. Wszystko, czego potrzebował jego umysł do identyfikacji własnego ja, oraz otaczającego go wszechświata, zniknęło. Był jak pradawna komórka, unosząca się bez początku, bez celu, bez przeznaczenia.

Tylko migotliwe światełko pamięci przebijało grubą warstwę grozy, ostrzem racjonalności. Alice. Musi przetrwać dla Alice. Musi znaleźć drogę z powrotem do Alice – z powrotem na Ziemię.

Popatrzył w stronę *Martian Princess* i poszukiwaczy na jej kadłubie. Krzyknął w bezdźwięcznej ciemności. Poszukiwacze opuścili statek i ścigali go w otwartym kosmosie. Ich szybkość znacznie przekraczała jego. Ucieczka przed nimi była daremna – bez sensu było również pozostawienie nieba *Martian Princess*. Jego jedyna szansa na przetrwanie i sukces, leżała w powrocie na Ziemię na pokładzie statku. Po długiej krzywej zatoczył łuk w jego kierunku. Natychmiast poszukiwacze skręcili, by przeciąć jego tor lotu i przechwycić go na kolizyjnym kursie.

Teraz ich widział. To nie byli marynarze w skafandrach kosmicznych, jak wcześniej przypuszczał. Raczej, obiekty – dwa – wyglądające jak miniaturowe statki kosmiczne. Przestrzeń przed nimi omiatały snopy światła, i jak podejrzewał, mieli również inne urządzenia radiacyjne, pozwalające na wykrywanie przy pomocy radaru, czy podczerwieni.

W głębi umysłu zdawał sobie sprawę, że oni nie przybywali z *Martian Princess*. We wnętrzu pojazdów nie było też żadnych marynarzy. To były jakiegoś rodzaju roboty i pochodziły one z wielkiego czarnego statku.

Poczuł ich reflektory skupione na sobie i czekał na śmiertelne, niszczące wyładowanie gorąca, albo zabójczego promieniowania. Nie był przygotowany na to, co się stało.

Szybko go doścignęli, i robot znajdujący się bliżej podszedł na odległość niecałych dwunastu stóp, dostosowując swoją prędkość do szybkości Mela. Nagle z niewielkiego otworu w maszynie wystrzeliła cienka metalowa macka, która owinęła się wokół niego, jak oplatający go wąż. Następnie zbliżył się drugi robot i zarzucił kolejne pęta. Ręce i nogi Mela zostały unieruchomione. Gorączkowo próbował manipulować dźwignią

odrzutu w rękawicy skafandra. Skutek był tylko taki, że macki wbiły się głęboko i boleśnie w jego ciało, grożąc zniszczeniem powłoki skafandra. Wyłączył silniczki i uznał porażkę swej szaleńczej misji.

Po kilku chwilach znaleźli się z powrotem w pobliżu statków. Mel zastanawiał się, jakiej to reprymendy mogą mu udzielić marynarze *Martian Princess*, oraz jakie fantastyczne wyjaśnienia mogą podać dla swych własnych działań.

Jednakże nie zabierano go na *Martian Princess*. Wijąc się boleśnie w mackach robotów, stwierdził, że jest transportowany na czarnego obcego.

Właz otworzył się bezgłośnie i roboty wciągnęły go do czarnego wnętrza statku. Poczuł, że upuszczono go na twardą, metalową podłogę. Macki odwinęły się. Uwolniony, próbował z wysiłkiem podnieść się na nogi i poświecić snopem światła z reflektora skafandra, na otaczające go ściany. Tonęły one, podobnie jak sufit i podłoga w nierozróżnialnej ciemnej szarości. W komorze był tylko on.

Kiedy próbował wytężyć wzrok, żeby znaleźć jakieś cechy charakterystyczne pustych metalowych powierzchni, odezwał się obcy, ponaglający głos.

— Proszę zdjąć skafander i przejść do otworu w ścianie. Niech pan nie próbuje uciekać, czy też atakować. Nie stanie się panu żadna krzywda, chyba że pan zaatakuje.

Nie było sensu się upierać. Zrobił to, co mu polecono. W ścianie przed nim otworzyło się jasne wejście. Przeszedł przez nie.

To co znalazł za drzwiami, przypominało mu laboratorium medyczne. Wszędzie dokoła znajdowały się półki i szafki pełne ręcznych instrumentów i sprzętu elektronicznego. Do tego, pośrodku pomieszczenia, siedziało trzech mężczyzn, obserwując drzwi, przez które wszedł. Popatrzył na przybyszy, a oni na niego.

Wyglądali całkiem zwyczajnie w swych białych kitlach lekarskich. Wszyscy zdawali się być w średnim wieku, mieli ciemne włosy, lekko siwiejące końcach. Jeden z nich był znacznie bardziej umięśniony od pozostałej dwójki, drugi walczył z nadwagą. Trzeci był bardzo szczupły. Mel poczuł, że najeżył się jak pies w ciemnościach nocy.

Nieważne jak zwyczajnie wyglądali, to nie byli ludzie z Ziemi. Pewność tego faktu osiadła mu zimnym, martwym ciężarem na dnie żołądka.

— Wy… — wyjąkał. Nie miał nic do powiedzenia.

— Proszę położyć się na tej leżance — polecił najbliżej stojący, ten umięśniony. — Nie chcemy zrobić panu krzywdy, a więc proszę się nie bać. Chcemy tylko określić, czy nie został pan poszkodowany przez pański lot w kosmosie.

Cała trójka była zaniepokojona, i Mel był pewien że także zmartwiona, jego eskapadą. Czyżby udało mu się niemal dogrzebać do jakichś nieznanych sekretów?

— Proszę… — powtórzył ten umięśniony.

Nie miał wyboru. Mógłby walczyć i zniszczyć sporą część aparatury, ale nie mógł nawet marzyć o ich pokonaniu. Położył się na leżance, jak mu rozkazano. Niemal natychmiast ten z nadwagą znalazł się za nim,

chwytając go za rękę. Poczuł ukłucie igły. Chudy stał u jego stóp, spoglądając na niego bystro.

— Teraz niech odpocznie — powiedział ten chudy, — a potem zobaczymy, co trzeba będzie zrobić.

Wydawało mu się, że sen trwał całe eony. Kiedy w końcu się obudził, miał poczucie, że minęło ogromnie dużo czasu. Wzrok miał trochę zamglony, lecz nie było wątpliwości, co do obrazu, który roztaczał się przed nim.

Alice. Jego Alice – bezpieczna.

Siedziała na brzegu łóżka i nachylając się do niego, uśmiechała się. Z trudem uniósł swe ciało do pozycji na wpół siedzącej.

— Alice! — wyszlochał.

Po chwili powiedział:

— Gdzie my jesteśmy? Co się stało? Pamiętam tyle szalonych rzeczy – lot na wakacje na Marsie.

— Kochanie, nie próbuj przypominać sobie tego wszystkiego — przerwała mu. — Byłeś chory. Kiedy byliśmy w kosmosie, zaatakowała cię jakaś histeria połączona z amnezją. Teraz jesteśmy już z powrotem na Ziemi. Niedługo wyjdziesz ze szpitala i wszystko będzie dobrze.

— Spieprzyłem to — wyszeptał. — Popsułem ci cały wyjazd.

— Nie. Wiedziałam, że wszystko będzie w porządku. I nawet miałam całkiem sporo dobrej zabawy, ja sama. Zaraz jak tylko poczujesz się lepiej, zaczniemy oszczędzać i znowu polecimy.

Skinął sennie głową.

— Pewnie. Polecimy na Marsa jeszcze raz i będziemy mieli prawdziwe wakacje.

Alice rozpłynęła się w oddali. Wszystko rozpłynęło się w oddali.

Zdawało mu się, jakby ściany laboratorium doktora Martina zbiegały się wokół niego z jakiejś ogromnej odległości, a światła z wolna stawały się coraz jaśniejsze. Doktor Martin siedział koło niego, powoli kiwając głową.

— Strasznie mi przykro, panie Hastings. Myślałem, że uda nam się uzyskać pełny i prawdziwy przebieg wypadków, które zaszły w tym czasie. Ale często się zdarza, tak jak to jest w pańskim przypadku, że fantazja leży na fantazji i trzeba się przekopać przez wiele ich warstw, zanim odsłoni się prawdę. Myślę, jednak, że nie będziemy musieli zanurzać się znacznie głębiej, by tę fundamentalną dla pana prawdę odnaleźć.

Mel leżał na kozetce, przez cały czas wpatrując się w sufit.

— A więc, nie istnieje żaden wielki, czarny statek kosmiczny?

— Oczywiście, że nie! Panie Hastings, to jest jedno z niebezpieczeństw tego rodzaju analiz. Nie wolno dać się zwieść i uwierzyć, że nowo odkryta fantazja jest prawdą, której się szuka. Musi pan wrócić i kontynuować swoje poszukiwania.

— Tak. Tak, oczywiście.

Podniósł się powoli i doktor wraz z jednym ze swoich asystentów pomógł mu przejść do zewnętrznego pomieszczenia. Asystent dał mu do wypicia szklankę białego, słodkawego napoju.

— Pozwala szybciej wrócić do siebie — roześmiał się dr Martin. — Rozprasza oszołomienie, które czasami towarzyszy takim głębokim sondowaniom. Będziemy na pana czekać pojutrze.

Mel przytaknął i wyszedł do holu.

Nie ma żadnego czarnego statku.

Nie ma żadnych tajemniczych małych statków-robotów, ze strzelającymi mackami, które chwytają ludzi.

Żadnego tria w fartuchach lekarskich.

I nie ma Alice…

Nagły błysk myśli przeszył jego umysł. A może to wszystko też było tylko złudzeniem. Być może jeśli teraz pójdzie do domu, to znajdzie ją, czekającą na niego. Być może…

Nie. To wszystko było rzeczywistością. Wypadek. Doktor Winters. Scena w chłodni koło bloku operacyjnego w szpitalu. Doktor Martin o tym nie wiedział. Być może to również nazwałby fantazją, gdyby Mel próbował mu o tym opowiedzieć.

Nie. To wszystko wydarzyło się naprawdę.

Niewiarygodne, obce organy Alice.

Wielki, czarny statek.

Bezrozumne roboty poszukiwawcze.

Prześladujący go koszmar miał swoje źródło w tym, co działo się w kosmosie, które to wydarzenia zostały usunięte z jego świadomej pamięci. W dzieciństwie tego koszmaru nie było, jak myślał wcześniej. Teraz potrafił to jakoś poukładać w czasie.

Ale co się stało z Alice? We wspomnieniach odsłoniętych przez doktora Martina, nie było żadnych wskazówek. Czy jej stan był tylko wynikiem jakiegoś kaprysu dziedziczenia, albo mutacji genów?

Narastający w jego umyśle zamęt był jeszcze gorszy niż przedtem. Był tylko jeden sposób, żeby to wszystko wyjaśnić – przeprowadzić swój oryginalny plan lotu na Marsa.

Poleci tam jeszcze raz. Dowie się, czy ten czarny statek istnieje, czy nie.

Dziewczyna w biurze biletowym była uprzejma, ale stanowcza.

— Nasze zapisy wskazują, że bardzo niedawno był pan na wakacjach na Marsie. Zapotrzebowanie jest tak duże, a pojemność statków tak niewielka, że musimy limitować możliwość tych podróży wakacyjnych, do najwyżej jednej w okresie dziesięciu lat.

Odwrócił się i ruszył do holu, a następnie do drzwi wyjściowych z marmurowo-szklanego Budynku Connemorra Lines.

Przeszedł sześć przecznic przez miasto i przyszła mu do głowy myśl o starym Jake'u Nortonie. Jake był weteranem w redakcji miejskiej, jeszcze kiedy Mel był szczeniakiem. Jake właśnie parę miesięcy temu przeszedł na

emeryturę i mieszkał w domu w mieście, razem z wieloma innymi starymi ludźmi. Mel kiwnął na najbliższą taksówkę i pojechał do domu Jake'a.

— Mel, świetnie cię widzieć! — powitał go Jake. — Nie spodziewałem się, że któryś z chłopców będzie pamiętał o starym człowieku, po tym jak ten po raz ostatni przekroczy próg redakcji.

— Ludzie mają naprawdę dobrą pamięć, jeśli czegoś potrzebują.

— Pewnie — odparł Jake z szerokim uśmiechem, — ale nie ma zbyt wielu rzeczy, które mógłbym dla ciebie zrobić, chłopcze. Nie mogę nawet pożyczyć ci dychy do następnej wypłaty.

— Jake, możesz mi pomóc i to bardzo — powiedział Mel. — Nie myślisz chyba, żeby kiedykolwiek w życiu wybrać się na Marsa, co?

— Na Marsa! Oszalałeś, Mel?

— Byłem tam już kiedyś, a teraz muszę znowu polecieć. Tu chodzi o Alice. A oni nie pozwalają mi na to. Nie wiedziałem, że można lecieć tylko raz na dziesięć lat.

Jake pamiętał o jego poprzednim wypadzie. Alice dzwoniła do niego oraz do innych chłopców, kiedy z niego wrócili. Powiedziała, że Mel jest chory. Nie będzie pamiętał tej podróży. Prosiła ich, żeby o niej z nim nie rozmawiali. A teraz Mel przypomniał sobie i chciał lecieć ponownie. Jake nie wiedział, co powinien z tym zrobić.

— W jaki sposób mógłbym ci pomóc? — zapytał.

— Dam ci pieniądze. Kupisz bilet na swoje nazwisko. Ja polecę jako Jack Norton. Myślę, że może mi się to udać. Nie sądzę, aby robili jakieś bliższe kontrole.

— No pewnie – jeśli to ci się do czegoś przyda — oznajmił z wahaniem Jake. Pamiętał niepokój w głosie Alice, kiedy dzwoniła i błagała go, żeby nie mówił niczego, co mogłoby przypomnieć Melowi Marsa. Nikt miał o tym mu nie wspominać, o ile wiedział Jake.

Wziął pieniądze, a Mel zaczekał w domu starców. Godzinę później Jake zadzwonił.

— Najbliższa rezerwacja, jaką można dostać za normalną cenę jest dopiero za osiem miesięcy. Ale znam paru koników, którzy mogą to załatwić za cenę 50% wyższą.

Mel jęknął.

— Kupuj, nie ważne za ile. Muszę lecieć natychmiast!

Będzie załatwiony na dziesięć następnych lat.

Tym razem było nieco inaczej, niż poprzednio. Co prawda nad tłumem urlopowiczów i ludzi którzy przyszli ich pożegnać, unosił się podobny nastrój wakacyjnego entuzjazmu. Był to nawet ten sam statek.

Wszystko było jednak inaczej z powodu nieobecności Alice.

Pozostał w swojej kabinie i nie obserwował startu. Poczuł tylko lekki kołyszący ruch, kiedy statek ruszył w swój długi rozbieg po wodzie. Następnie, lekkie pchnięcie, gdy włączona została sztuczna grawitacja. Leżał na łóżku i zamknął oczy, kiedy *Martian Princess* zanurzyła się w zimną kosmiczną noc.

Przez pierwsze dwa dni pozostawał w kajucie, wychodząc z niej tylko na posiłki. Sam lot nie budził w nim żadnego zainteresowania. Czekał tylko na obwieszczenie, że przybył czarny statek.

Ale, do końca drugiego dnia podróży, statek się nie pojawił. Mel spędził bezsenną noc, wpatrując się w nieskończony horyzont gwiazd. Doktor Martin miał rację, pomyślał sobie. Żaden czarny statek nie istnieje. Zastąpił sobie tylko jedną iluzję, drugą. Gdzie była rzeczywistość? Czy gdzieś na świecie w ogóle ona istniała?

Jednak, nawet jeśli czarny statek nie istnieje, jego celem był ciągle Mars.

Trzeci dzień minął również, bez pojawienia się czarnego statku. Ale tego samego dnia, późnym wieczorem, głośnik oznajmił:

— Wszyscy pasażerowie proszeni są o przygotowanie się do przesiadki z wahadłowca na marsjański liniowiec. Proszę zabrać ze sobą bagaż podręczny…

Mel siedział jak sparaliżowany, słuchając obwieszczenia. A więc, to była prawda! Poczuł słaby wstrząs, który zakołysał *Martian Princess*, kiedy oba statki połączyły się ze sobą. Ze swojej kajuty Mel widział obcy statek, czarny, brzydki, i wyglądający jakoś śmiertelnie niebezpiecznie. Szkoda, że nie mógł doktorowi Martinowi pokazać tego „złudzenia”.

Spakował się szybko i wyszedł z kajuty. Tym razem nie ociągając się, dołączył do zaskoczonego i podnieconego tłumu, z zapałem czekając na możliwość rozwikłania tajemnicy wielkiego, czarnego statku.

Przejście z jednego statku na drugi, było niemal niezauważalne. Konstrukcja obu korytarzy była taka sama, ale Mel wiedział kiedy pokonał punkt połączenia. Czuło się przejście do dziwnego świata, który był zupełnie odmienny od tego znanego mu, normalnego.

Dalej, w korytarzu, tłum zwalniał, ustawiając się w kolejki do stewardów, którzy sprawdzali bilety. Pasażerowie byli kierowani dalej do rozgałęziających się korytarzy, prowadzących do przydzielonych im kajut. Jak do tej pory wszystko szło tak zupełnie normalnie, że Mel poczuł ogarniające go przygnębienie. Było dokładnie tak jak im powiedziano, przesiadali się z wahadłowca na liniowiec na Marsa.

Steward rzucił okiem na jego bilet, zatrzymał go przez chwilę zawahania, przyglądając się jednocześnie twarzy Mela.

— Pan Norton… proszę pójść ze mną.

Steward ruszył w stronę, w którą nie zabierano żadnych pasażerów. Jego miejsce zajął inny ze stewardów.

— Tędy — wskazał Melowi drogę ten drugi marynarz. — Proszę udać się za stewardem.

Serce Mela wyraźnie przyśpieszyło tempo swego bicia, kiedy wyszedł z kolejki i powoli ruszył korytarzem, za odchodzącym stewardem. Maszerowali przez dłuższy czas rozgałęziającymi się cichymi korytarzami, na których nie było widać żadnych oznak życia.

Zatrzymali się w końcu pod drzwiami, wyglądającymi podobnie do wielu innych, które wcześniej minęli. Nie było na nich numeru. Steward otworzył je i stanął obok.

— Proszę wejść do środka — powiedział.

Mel wszedł i stwierdził, że jest sam. Steward pozostał na zewnątrz.

Kabina była umeblowana jako biuro. Na podłodze leżał dywan, wyłożona było luksusowymi panelami. Otworzyły się drzwi prowadzące do pomieszczenia po lewej, wpuszczając wysokiego mężczyznę o siwiejących włosach. W każdym ruchu człowiek ten roztaczał wokół siebie aurę potęgi i władzy. Aurę, którą Mel Hastings rozpoznał natychmiast.

— James Connemorra! — wykrzyknął Mel.

Mężczyzna skłonił lekko głowę, w potwierdzeniu.

— Tak, panie Hastings — oznajmił.

Mel był kompletnie zbity z tropu.

— Skąd pan wie, kim jestem? — spytał.

James Connemorra wyjrzał przez iluminator obok Mela, przyglądając się widocznym się za nim gwiazdom.

— Szukałem pana na tyle długo, by wiedzieć kim pan jest.

Coś w głosie tego człowieka zmroziło Mela.

— Nie było specjalnie trudno mnie znaleźć. Jestem tylko dziennikarzem. A dlaczego pan mnie szukał?

Connemorra rozsiadł się w głębokim fotelu po drugiej stronie pomieszczenia.

— Nie domyśla się pan? — zapytał.

— Czy to ma coś wspólnego z tym co wydarzyło się… kiedyś? — odpowiedział pytaniem Mel. Oparł się ostrożnie plecami o ścianę naprzeciwko Connemorry. — Wtedy, kiedy uciekłem z *Martian Princess* zamiast przejść na pokład czarnego statku?

Connemorra skinął głową.

— Tak.

— Nadal nie rozumiem. Dlaczego?

— Wciąż ta sama stara historia. — Connemorra wzruszył nieznacznie ramionami. — Pewien człowiek dowiaduje się zbyt wiele o sprawach, o których nie powinien wiedzieć nic.

— Mam prawo dowiedzieć, co się przytrafiło mojej żonie. Słyszał pan o niej, nieprawdaż?

Connemorra znowu przytaknął.

— Co się z nią stało? Dlaczego zmieniła się, po swoim locie na Marsa?

Connemorra milczał tak długo, że Mel myślał już, iż nie usłyszał jego pytań.

— Czy wszyscy wracają stamtąd odmienieni? — dopytywał się Mel. — Czy z każdym lecącym na Marsa dzieje się to samo, co stało się z Alice?

— Dowiedział się pan tak wiele — powiedział Connemorra, mówiąc jakby do siebie samego — że musiałem pan odnaleźć i sprowadzić tutaj.

— Co pan przez to rozumie? Dotarłem tutaj, dzięki swoim własnym zabiegom. W pańskim biurze próbowano mnie powstrzymać.

— A jednak wiedziałem kim pan jest i że jest pan tutaj. Pewnie więc musiałem mieć z tym coś do czynienia, nie myśli pan?

— Słucham?

— Zmusiłem pana, żeby pan poleciał podstępem, tak że nikt nie wie, o pańskiej tutaj obecności – poza tym starym człowiekiem, którego nazwisko pan wykorzystał. Kto mu uwierzy, że poleciał pan *Martian Princess*? Zgodnie z naszymi rejestrami, to Jakie Norton wsiadł na statek na Ziemi. Nikt nie będzie w stanie udowodnić, że Mel Hastings kiedykolwiek był na pokładzie.

Mel powoli wypuścił powietrze z płuc. Strach nagle pokonał jego ostrożność. Zrobił ukradkowy krok do przodu. Potem stanął jak sparaliżowany. James Connemorra lekko uniósł niewielki pistolet, który trzymał na kolanach. Mel nie wiedział, jak on się tam znalazł. Jeszcze chwilę wcześniej go nie widział.

— Co ma pan zamiar robić? — dopytywał się Mel. — Co ma pan zamiar zrobić z nami wszystkimi?

— Wie pan za dużo — odparł Connemorra, wzruszając ramionami z przejaskrawioną bezradnością. — A co ja mogę z panem zrobić?

— Proszę mi wyjaśnić sprawy których nie rozumiem, związane z tym co jak pan twierdzi, wiem.

— Wyjaśnić panu?

Ten pomysł zdawał się rozbawiać Connemorrę tak ogromnie, jak gdyby cechował go jakiś niesamowicie śmieszny aspekt.

— Tak, równie dobrze mogę panu wszystko wyjaśnić — powiedział. — Już od dawna nie spotkałem nikogo, kto byłby zainteresowany słuchaniem mnie.

— Ludzkość nigdy nie była sama w kosmosie. Już od czasów Neandertalczyków, byliśmy okresowo obserwowani, badani i studiowani, przez rasy w galaktyce, wyprzedzające nas w rozwoju o setki tysięcy lat. Ci obserwatorzy byli przyjemnie zaskoczeni pewnymi rzeczami, które zrobiliśmy, przerażeni innymi.

— Istnieje pewna galaktyczna organizacja, funkcjonująca już od co najmniej stu tysięcy lat. Celem tej organizacji jest wzajemny rozwój planet i ras galaktyki. Istnieje również po to, by zachować pokój, ponieważ przed jej utworzeniem były czasy w których miały miejsce wojny międzygwiezdne, a w tych bezsensownych zmaganiach niejedna wielka planeta została kompletnie unicestwiona.

— Kiedy ludzie z Ziemi stali się gotowi do zrobienia kroku w kosmos, Rada Galaktyczna musiała zdecydować, tak jak to robiła przy tak wielu podobnych okazjach, czy nowa planeta może zostać przyjęta na jej członka. Wybór nie leży tutaj w rękach nowej planety; dokonywany jest za nią. Planeta, która zaczyna wysyłać swe statki w kosmos staje się członkiem Rady, albo jej statki przestają latać. Sama planeta może przestać istnieć.

— Chce pan powiedzieć, że ta dyktatorska Rada decyduje, czy planeta zasługuje na przetrwanie, i fizycznie niszczy ją jeśli uzna, że nie? — sapnął Mel ze zgrozą. — Sami ustanowili się sędziami Wszechświata?

— Mniej więcej w taki właśnie sposób działają, otwarcie mówiąc — przyznał Connemorra. — Może pan ich określić tysiącem nieprzyjemnych nazw, ale nie zmieni to faktu ich istnienia, ani faktu udanej ich działalności w okresie odpowiadającym wiekowi rasy ludzkiej.

— Nawet by nie ujawnili przed nami swego istnienia, gdybyśmy nie zaczęli wysyłać w kosmos naszych statków. Ale kiedy już to zrobiliśmy, wkroczyliśmy na terytorium opanowane przez rasy, które zajmowały je już wtedy, kiedy my ledwie wypełzaliśmy z naszych jaskiń. Kto może oceniać, czy mają do tego prawo?

— Ale nakładać wyroki na całe planety…

— Nie mieliśmy wyboru, jak tylko przyjąć, że taki wyrok został nałożony.

— A ich wyrok dla Ziemi brzmiał…?

— Brzmiał, że Ziemia nie jest jeszcze gotowa do członkostwa w Radzie. Ziemianie nadal popełniają zbyt wiele błędów, aby dołączyć do istot, które były w stanie pokonać galaktykę z prędkością nadświetlną, kiedy my jeszcze uczyliśmy się, jak ociosywać krzemień.

— Ale nie zniszczyli nas!

James Connemorra popatrzył w gwiazdy.

— Zastanawiam się… — odparł. — Zastanawiam się…

— Co pan przez to chciał powiedzieć? — spytał Mel z napięciem w głosie.

— Mamy pewne negatywne strony, które nie do końca przypominają te wcześniej przez nich napotkane. Rozwinęliśmy umiejętności wytwarzania artefaktów technicznych, ale nie mamy zdolności ich właściwego użycia. Na przykład, zbudowaliśmy potężne systemy łączności, lecz te systemy nie usprawniły naszej komunikacji, w rzeczywistości one ją zablokowały.

— To szaleństwo! — zawołał Mel. — Czy oni sobie wyobrażają, że sygnały dymne są lepszym rozwiązaniem od ekranów 3D w naszych domach?

— Prawdę mówiąc, dokładnie tak. Ja zresztą myślę podobnie. Kiedy człowiek zmuszony jest do sięgnięcia po sygnały dymne, zanim zajmie się kłopotliwym wysłaniem wiadomości, musi być pewny, że ma coś do powiedzenia. A nasze bajeczne ekrany uniemożliwiają komunikację między nami, wznosząc mur pseudo-komunikacji, przez który nie potrafimy się przebić. Otaczamy się barierą dźwięku i światła, która ma zawartość komunikacyjną równą niemal zero.

— To samo można powiedzieć o naszych wynalazkach w obszarze transportu. Mamy efektywne środki podróży do każdego zakątka świata, a teraz nawet i samego Wszechświata. Ale nie podróżujemy. Używamy naszych maszyn do blokowania podróży.

— Mogę jeszcze zrozumieć pierwszy argument, ale nie ten! — oznajmił Mel.

— Przemieszczamy przy pomocy maszyn nasze ciała w nowe miejsca, ale umysły pozostają w domu. Wszędzie, gdzie się udamy, zabieramy ze

sobą swoje rutynowe, skostniałe myśli, predyspozycje, pojęcia kulturalne. Nie potrafimy dotknąć, nawet częścią umysłu, tego z czym dzięki naszym maszynom możemy się skontaktować. My nie podróżujemy. Przemieszczamy się w przestrzeni, ale nie podróżujemy.

— Tak brzmi ich oskarżenie. I mają rację. Ciągle robimy to, co robiliśmy zawsze. Używamy lotów kosmicznych do nudnych, trywialnych, głupich rzeczy. Używamy geniuszu do zabawy, jak dziecko uderzające atomowym zegarkiem o podłogę. Dotyczy to wszystkich naszych wielkich odkryć i wynalazków; silnika benzynowego, telefonu, technik bezprzewodowych. W oparciu o cuda natury, zbudowaliśmy cywilizację o wręcz monumentalnej głupocie. Jedna z ras Galaktyków, ma powiedzenie, które stosuje się do ludzi takich jak my: „Jeśli jest Bóg w niebiesiech, to płacze od dziesięciu tysięcy lat”.

— **A**le to jeszcze nie jest najgorsze. Rasa, która jest po prostu głupia, rzadko kiedy jest w stanie wydostać się w kosmos. Nasza, jednak, ma w sobie jeszcze coś więcej. Coś, czego oni się bardzo obawiają: destrukcyjność. Przejrzeli naszą historię i dokonali jej ekstrapolacji w przyszłość. Gdyby pozwolili nam wydostać się w kosmos, konsekwencją tego byłyby wojny i konflikty.

— Tego nie mogą przewidzieć!

— Oni twierdzą, że mogą. Nie mamy możliwości, by z tym dyskutować.

— A więc, postanowili nas zniszczyć…

— Nie. Chcą spróbować eksperymentu, który w przeszłości był prowadzony zaledwie parę razy. Chcą nas zredukować z poziomu, który osiągnęliśmy, określanego przez nich jako masa krytyczna.

— Masa krytyczna? To termin z fizyki jądrowej.

— Zgadza się. Oznacza stan gotowości do wybuchu. I tacy właśnie jesteśmy. Dwie, nie takie znowu pomniejsze, wojny nuklearne w ciągu pięćdziesięciu lat. Dostrzegli jak przenosimy nasz zmysł destrukcji w kosmos, walcząc tam ze sobą nawzajem, zarażając inne rasy naszą wrogością. Ale jeśli zostaniemy rozbici na mniejsze grupy, pozbawione narzędzi do prowadzenia wojny, i zostaniemy zmuszeni do wkroczenia na inne drogi rozwoju – no cóż, mają nadzieję, że zdołają nas uratować.

— Ale nie wolno im robić takich rzeczy! Co oni zamierzają? Zabierać grupy Ziemian, deportować ich na inne planety – rozbić nas na odłamy, na zawsze rozdzielone od siebie…?

Chłód w piersi Mela znalazł swe miejsce spoczynku. Spoglądał na Connemorrę. Potem jego wzrok przesunął się powoli po ścianach pomieszczenia na czarny statek, a następnie na gwiazdy. Czarny statek.

— Ten statek…! Przenosicie pasażerów na ten statek Galaktyków, aby zostali wywiezieni na inne planety! Ale oni przecież wracają…

— Wysyłani są do kolonii na innych planetach, na których panują warunki podobne do ziemskich – z pewnymi znaczącymi zmianami. Kolonie są małe, największa liczy zaledwie parę tysięcy ludzi. Problemy tam napotykane są odmienne niż na Ziemi – i są one trudne. Zasoby

naturalne nie są takie same. Rozwój tworzących się tam cywilizacji, będzie bardzo się różnił od tego, co widzimy na Ziemi. Rada Galaktyczna jest poważnie zainteresowana wynikami eksperymentu – które z pewnością nie będą znane jeszcze przez tysiąc lat, czy coś koło tego.

— Ale oni wracają! — upierał się Mel. — Przywozicie ich z powrotem!

— Za każdego Ziemianina, który odlatuje w kosmos, odsyłane jest zastępstwo. Zastępowany jest on przez androida dostarczanego przez Radę.

— Android! — Mel poczuł, że jego zdrowy rozsądek zaczyna ulatywać. Zdał sobie sprawę z tego, że krzyczy. — A więc Alice… Ta Alice, która umarła… była androidem, a nie moją żoną! Moja Alice ciągle żyje! Może pan mnie do niej zabrać…

Connemorra kiwnął głową.

— Alice ciągle żyje i jest zdrowa. Nie stała jej się żadna krzywda.

— Proszę mnie do niej zabrać! — Mel wiedział, że się upokarza, ale udręka pozbawiła go resztek dumy.

Wydawało się, że Connemorra ignoruje jego błagania.

— Populacja Ziemi powoli jest rozwadniana, poprzez usuwanie najbardziej znaczących ludzi. Androidy pod każdym względem zachowują się jak osoby, które zastępują, ale zostały wcześniej uwarunkowane, przeciwko wrodzonej destrukcyjności Ziemian.

W sercu Mela zaczął narastać ślepy gniew.

— Nie ma pan prawa rozdzielać mnie z Alice. Proszę mnie do niej zabrać!

Ogarnęła go furia i rzucił się naprzód.

Mały pistolet w ręku Connemorry wystrzelił dwukrotnie. Mel poczuł dwa uderzenia, i jednocześnie ogarnęło go wielkie zdumienie. Przecież to nie może tak się skończyć, pomyślał. To nie może się skończyć zanim jeszcze raz nie zobaczy Alice. Chociaż jeden raz…

Upadł na podłogę. Ból nie był taki silny, ale wiedział że umiera. Opuścił wzrok na swą dłoń, która zakrywała wielką ranę pośrodku jego tułowia. Coś było nie tak.

Czuł coś lepkiego, lecz z rany nie wypływała czerwona krew. Zamiast tego, wyrastała z niej bańka gęstej, zielonej wydzieliny, rozlewająca się na jego ubranie i rękę. Obca zieloność, która nie miała w sobie nic ludzkiego.

Widział to już kiedyś.

Alice.

Uniósł wzrok na Connemorrę, patrząc na niego rozszerzonymi, zdumionymi oczyma.

— Wszystko się pokręciło, mój biedny androidzie — powiedział delikatnie Connemorra. — Kiedy twój człowiek został ściągnięty z powrotem na statek, zmuszeni byliśmy przeprowadzić zwykły proces osadzenia zawartości jego umysłu w pamięci androida. Potem jednak trzeba było usunąć wszelkie wspomnienia dotyczące próby jego ucieczki z *Martian Princess*. To się nie udało. Ciągle powracały one w koszmarze,

którego doświadczałeś. A psycho-rekonstrukcja wyciągnęła wszystko z powrotem na wierzch.

— Próbowaliśmy to pokryć uwarunkowaniem amnezyjnym, zamiast zwykłymi implantowanymi wspomnieniami z wakacji na Marsie. I cała sprawa nawet mogłaby się udać, gdyby nie to, że android Alice także był wadliwy. Normalnie androidy mają wbudowane mechanizmy ochronne, czyniące niemożliwymi wypadki oraz wynikające z nich odkrycia ich charakteru. Ale android Alice zawiódł i pchnęło cię to na drogę w kierunku okrycia nas. Musiałem znaleźć jakiś sposób aby cię zniszczyć – zamordować.

— Naprawdę, bardzo mi przykro. Nie wiedziałem, jak androidy myślą lub czują. Czasami, bardzo się was wszystkich boję. Jesteście zupełnie jak ludzie, ale ja widziałem fabryki, w których zostaliście wyprodukowani. Jest wiele rzeczy, o których nie wiem. Wiem tylko, że musiałem być posłuszny Radzie Galaktyki, inaczej Ziemia już dawno temu zostałaby unicestwiona.

— I jest jeszcze coś, co wiem. Alice i Mel Hastings są zadowoleni i szczęśliwi. Znaleźli się na ślicznej planecie, bardzo podobnej do Central Valley.

Zamknął oczy, czując jak życie – czy cokolwiek to było – powoli z niego uchodzi. Pomimo wszystko, cała ta sprawa dobrze się skończyła, pomyślał sobie.

Leżał skulony na podłodze, jak ołowiany żołnierzyk z namalowanym uśmiechem, który spadł z półki z zabawkami.

KONIEC